



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.

Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakeyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 20 Lipca
(1 Sierpnia) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zhr. 2. Na prowincyi zhr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Widziałem ciebie (wiersz). — Rogata dusza, powieść Juliana Łętowskiego (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Strzał, nowela (dokończenie).
Hygiena. — Z tygodnia. — Z chwili bieżącej. — Odpowiedzi od redakcyi. — Ogłoszenia. W dodatku: Silniejsza niż nienawiść, powieść przez Leona de Tinseau,
przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 1).

Widziałem ciebie.

Widziałem ciebie w balowej sali
Wśród płasających par grona,
Gdy włos twój kruczy, jak wstęga fali,
Na śnieżne spadał ramiona.

Gdy otaczały ciebie róż koła
Jasną od światła tysiąca,
A blask brylantów bił ci od czoła,
Niby promienie od słońca.

Piękniły słowa, miękły wyrazy,
Płynąc z ust twoich koralu...
I powiedziałem mało sto razy,
Że jesteś — królową balu!

* * *

Widziałem ciebie po dziennym zmierzchu,
Późną wieczoru już doba —
Łódź twa płynęła po wody wierzchu
I płynął księżyc wraz z tobą.

Białały fale jak puch gołębi,
Od silnych wiosła uderzeń —

Tys się skarżyła jezioru głębi,
Kto inny słuchał twych zwierzeń.

Checiałaś wynaleźć cel życia smętny,
Być siostrą braci cierpiącej —
Wtedy uczulem ruch serca prędszy,
Niepokój w duszy marzącej.

* * *

Widziałem ciebie w majowy ranek,
Blask słońca spływał po tobie —
Na głowie miałaś z róż polnych wianek,
Białą sukienkę na sobie.

U piersi twojej drżał kwiat pierwiosnka,
Z ust dźwięków płynęła fala —
Słuchałem długo — była to piosnka,
Co krew nam w żyłach zapala.

Wtedy uczuciem dziwnem natchniony,
Nie mogłem rysów twych zatrzeć —
I powiedziałem: że lat miliony
Chciałbym na ciebie tak patrzeć.

* * *

Widziałem ciebie w świątyni murach,
Z wzniesionem ku niebu czołem,

Nurzał się kościół w kadzidel chmurach,
Otaczał wonnym obłokiem.

Kłęczałaś cicha, w niebo wpatrzona,
A śpiew chórny brzmiał kołem —
Z dymów kadzielnic jasna korona
Nad twojem zawisła czołem.

I zdało mi się, że byłaś skłonna
Przełać Golgoty łyż krwawe...
Patrząc na ciebie, rzekłem: Madonna!
I mówić zacząłem: Ave!

* * *

Lecz raz pamiętam!... wtedy nie byłaś
Ni w róż girlandach, ni złocie —
Gdy we drzwiach nędzy główkę schyliłaś
I łyż otarłaś sierocie.

Nazwało ciebie dziecię aniołem,
Choć jego nie miałaś znamion,
Ni złotej gwiazdy lśniącej nad czołem,
Ni białych skrzydeł u ramion.

Lecz byłaś taka jak lilia biała,
Z twych oczu biła słoneczność —
I — gdy sierota płakać przestała,
Zostałaś moją — na wieczność!

Kazimierz Gliński.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Trwało to długą chwilę.

— Ach — szepnął wreszcie, widząc że dziewczę zupełnie przychodzi do siebie. — Jakżeś ty mnie zastraszyła, brzydka, niedobra!... Przeceniłem twoje siły!... Ale bo to, coś uczyniła — mówił dalej, mając na myśli ów pocałunek, jaki na jego ręce złożyła, — było okrutnem! Ja teraz będę musiał tę rękę swoją chyba w ramki oprawić, jak poświęcaną... Ach, Jóźka, Jóźka!

Uśmiechnięta, uszczęśliwiona, wzięła go za obie ręce i poczęła dźwigać z kłeczek.

— Siądź tu, obok mnie! — prosiła.

Usiadł posłusznie, ona zaś, czując się osłabioną, oparła głowę na jego piersiach.

Teraz na nią przysłała kolej zwierzeń. Chciała mówić i prosiła, aby jej mówić pozwolił.

— Pan Bóg jest dla mnie zadbry! — zaczęła zwolna, szeptem, jakby spowiadała się sama przed sobą. — Ja nawet nie prosiłam Go nigdy o to szczęście, jakie dziś mię spotyka, bo ono wydawało mi się niepodobnem do uproszenia. Modliłam się tylko o szczęście dla ciebie. Ale żeby ja... ja sama... mogła choć odrobinę szczęścia ci przysporzyć, o tem nie śmiałam marzyć... Nie, nie! to musi być sen tylko!

Krótki, suchy kaszel, odbijający się bolesnem echem w jego sercu, przerywał jej mowę od czasu do czasu, mimo to ani myślała usłuchać jego perswazyj.

Trzeba, żeby raz nareszcie dowiedział się o wszystkim. Bo i ona walczyła długo sama z sobą, i ona odpychała od siebie te myśli o nim. Ale on, jakby się uwziął, był coraz lepszym i dla niej i dla Wiktora. Gdyby nie ta jego dobroć, możeby już dziś nie żyła... Zawsze bowiem, gdy go brakło, siły opuszczały ją zupełnie. I ostatnim razem, gdy wyjeżdżał tego lata, choć pożegnał ją tak serdecznie... tak przyjaźnie... przecież zwątpiła już o wszystkim. Mieli się nie widzieć całe trzy miesiące, a to było nad jej siły. Zaraz też zachorowała mocniej i wtedy to zdawało jej się, że musi umrzeć, że powinna nawet usunąć mu się z drogi, cicho, niepostrzeżenie.

— Ale i w grobie byłabym cię jeszcze kochała! — dodała, kończąc swoje zwierzenia.

W przyległym saloniku dały się słyszeć czyjeś kroki. To pani Dalecka wracała z teatru.

— Powiedzieć jej o wszystkim? — spytała Józia, mając na myśli swoją dobrodziejkę. — Ją to ucieszył! Matką mi jest prawie!

— Powiedz, powiedz! — odparł Konrad, całując raz jeszcze obie rączki ukochanej. — Ja sam rozgadam to jutro całemu światu!

Drzwi od pokoiku uchyliły się cichutko. Józia podbiegła na spotkanie wchodzącej.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytała troskliwie poczciwa kobieta.

Dziewczę, zarumienione, wskazało wzrokiem Konrada.

— Al witam pana! — szepnęła pani Dalecka, spostrzegając gościa. — Teraz już rozumiem, dlaczego Józia nie mogła na wyjście z domu namówić.

I pogroziła im obojgu z uśmiechem.

— Ale, kiedym pana jeszcze zastała — mówiła dalej, — to proszę na herbatę. Jest gotowa. Proszę!

Przeniesiono się do saloniku, gdzie służąca wniosła mały stoliczek. Rozmowa jednak nie kleiła się jakoś i pani Dalecka musiała mówić za troje.

Dopiero też przyjrawszy się baczniej obojgu milczącym, domyśliła się, że tu coś zająć musiało.

Przypuszczała jednak jakąś sprzeczkę i dopiero po chwili spostrzegła, iż była w błędzie.

Panowała tu widocznie najprzykładniejsza zgoda. Młoda para była w najlepszej komitywie i pomimo uporczywego milczenia, porozumiewała się wybornie wzrokiem i przelotnymi uśmiechami, które od czasu do czasu zjawiały się mimowolnie na jej rozpromienionych twarzach.

Dostrzegłszy to, poczciwa kobiecina teraz dopiero zrozumiała, iż czeka ją jakaś nowina. I on i ona mieli jej widocznie coś do powiedzenia i czekali tylko sposobnej chwili.

— Muszę się doktorowi poskarżyć — rzekła, zwracając się do Konrada. — Bo Józia znowu źle mi się sprawuje. Kaszle nanowo!

— Zauważyłem to także — odparł pan Konrad. — Myślę też sam zająć się kuracją panny Józefy. Tylko że przytem będę musiał i ją ztąd zabrać...

— Zabrać? Jak? Gdzie?

— Trzeba!

— Może znów do szpitala? O! na tobym już nie pozwoliła! Wtedy... przed dwoma miesiącami... to co innego. I ja sama byłam wtedy niezdrowa i pana tu nie było. A pan Wiktor mówił, że odda ją tam pod opiekę samych profesorów... Przekonywał, namawiał, ot i namówił... Ale teraz...

— Nie pójdzie do szpitala — zaczął pan Konrad, urwał jednak na tem, widząc błagalny wzrok Józi, która śnać nie chciała jeszcze wypowiedzieć ostatniego słowa, rozkoszując się tą lubą tajemnicą.

Zdradził ją atoli uśmiech i rumieniec.

Widząc też, że niema już wyjścia, sięgnęła nagle do ręki opiekunki i przytuliła do niej swe usta.

— Ach, pan! pan! — szepnęła.

Na twarzy pani Daleckiej odbiło się zdziwienie. Pytający swój wzrok przeniosła z Józi na Konrada i dostrzegła, że i on sięga po jej dłoń, jakby ją pragnął uściskać i wyrazić jej przez to swą wdzięczność, której w słowa narazie ubrać nie był w stanie.

Myśl jakaś przebiegła jej przez głowę i wzrok nagle się rozjaśnił.

— Ach, tak! — zawołała, dorozumiewając się nareszcie wszystkiego.

Konrad potwierdził ten domysł skinieniem głowy i nowym uściskiem jej ręki.

Nastąpiła uroczysta cisza.

Poczciwa kobieta, pod wpływem wzruszenia, długo nie mogła słowa przemówić i tylko ścisnęła tulącą się do niej dziewczynę.

Zwróciła się wreszcie do Konrada:

— Bóg to panu nagroził! — szepnęła ze łzami w oczach.

X.

Nazajutrz, około południa, przyjechali Schwartz i Marczewski. Wrócili rozbawieni, rześwi, pełni nowej jakieś ochoty do życia, ale zarazem i stęsknieni za Konradem. Nie wiedzieli wcale, co się z nim dzieje, na trzy listy bowiem nie otrzymali ani słówka odpowiedzi.

W drodze też nawet umawiali się, że nie puszczą mu tego bezkarnie i muszą dać mu poznać swoją urazę.

— Wiesz, Antek? — mówił Marczewski. — Ja do niego pierwszy nie pójde!

Schwartz z początku chciał Konrada usprawiliwić.

— Bo to — mówił, — niewiadomo, co on tu mógł mieć do roboty... Śmierć stryja... interesa...

Ale Kaziek nie chciał słuchać żadnych perswazyj.

— Niewiadomo! — przerwał, przedrzeźniając. — Tem gorzej! Byłoby wiadomo, gdyby „panu doktorowi” chciało się było odpisać... Nie pójde! Niech on mię teraz poszuka!

Antek zgodził się ostatecznie na zdanie kolegi.

— Niech nas poszuka!

Ale ciekawość i tęsknota przemogły, zwyciężając wszelkie postanowienia.

W parę godzin po przybyciu, rozsiedłszy się pod pozorem interesów, spotkali się obaj na schodach u drzwi nowego mieszkania przyjaciela.

Chcieli udawać, że się nie widzą lub nie poznają, ale na to się była zawidna.

— Mówiłeś, że idziesz do babki na Włodzimierską? — zaczął pierwszy Schwartz, zbliżając się do dzwoniącego zapamiętale kolegi.

— A i tyś mówił, że idziesz do krawca?

Antek machnął ręką.

— Ja! Cóż tam ja! — rzekł. — Łgałem, bom wiedział, że nie wytrzymam!

— No, i ja! Trudno! — odparł Marczewski i zadzwoił raz jeszcze gwałtownie, mszcząc się na niewinnym dzwonku.

Nic to jednak nie pomogło.

— Widocznie niema go w domu — szepnął.

— Ale służący być musi — zauważył Schwartz.

— O, o! A na cóż jemu teraz służącego? Przecie pacjentów jeszcze nie przyjmuje... Nie znasz go to zresztą... Przywykł sam sobie wystarczać!

— Ale gdzie jest o tej godzinie?

Marczewski wydobył zegarek.

— Prawda! Gdzie?... Piąta!

Nie było żadnej rady i trzeba się było cofnąć od drzwi przyjaciela. Postanowili jednak zajrzeć tu jeszcze za godzinę, ale już wspólnie, bez wybiegów.

Schodząc ze schodów, zaczął pierwszy Schwartz: — No, ale gdzieś ty się, Kazik, dowiedział o jego nowem mieszkaniu?

— W biurze adresowem. Akurat był już wciągnięty.

— A wiesz, jak ja się dowiedziałem?

— No?

— Spotkałem Zawadzkiego.

Marczewski skrzywił się, jak zawsze, ilekroć była mowa o czemś, czego nie znosił.

— El powiadam ci, inny człowiek! — ciągnął dalej Schwartz, dostrzegłszy niechęć przyjaciela. — Najprzód ubrany bardzo dobrze, prosto z igły. Potem wesoły, szczęśliwy, rozbawiony, a przytem, mówię ci, szelma taka dowcipna, kostyczny! Urodzony satyryk!

— I cóż? — spytał Marczewski, udając, że go to mało interesuje.

— A no, gdy go spotkał, pomyślałem zaraz, że od niego dowiem się napewno, gdzie Konrad mieszka. Zaczepiłem go też obcesowo. Zmierzył mnie z początku, o Jezus!... Ale gdy się dowiedział, że to o Konrada idzie i że ja zaliczam się do jego przyjaciół, zmienił ton odrazu. „Chodź pan — rzekł. — Ja wprowadzę pana...” Poszliśmy. Gadał przez drogę, ho, ho, usta mu się nie zamykały. Co on mi nie nagadał przez te pięć minut! Strach! wszystkiego się czepiał. I teatru, i polityki i młodzieży... Co to za głowa!... Aż wkońcu zatrzymał się przed tamtą kamienicą, mówiąc: „Drugie piętro. Frontowe schody. Do widzenia.” I popędził naprzód... Ciekawy facet!

— No, no! Kupił cię już, jak widzę!

— Kupił kupił! — zachnął się Schwartz. — Chcesz, wierz, a ja ci powtórzę, że dawno już nikt mnie tak nie zainteresował... Nie napróżno Konrad widzi w nim coś także i dotąd żyje z nim ciągle...

Marczewski nic już na to nie odpowiedział, a i Antek milczał, czując widocznie urazę. Szli przez pewien czas wprost przed siebie, w milczeniu, poczem, nie umawiając się wcale, skręcili z powrotem od rogu ulicy.

Dopiero jednak kwadrans upływał, nie było więc nadziei, aby Konrad mógł już być wrócić. Mimo to, gdy mijali kamienicę, w której przyjaciel zamieszkał, Schwartz wyrwał się, wołając:

— Idź przodem! Zobaczę jeszcze raz! Jeźlibym cię natychmiast nie dopędził, wracaj, bo to będzie znaczyło, iż Konrad w domu.

I pobiegł, nie słuchając perswazyi.

Marczewski posuwał się po asfalcie zwolna, myśląc: czemu właściwie tego Zawadzkiego nie lubi, gdy przecie nie zna go prawie wcale?

Zanim jednak mógł obmyśleć odpowiedź na to pytanie, Antek dopędził go, mówiąc:

— Niema! Ale stróż mi mówił, że przed ósmą będzie w domu z pewnością. Kazał to nawet powiedzieć, gdyby kto pytał się o niego...

Marczewski, w odpowiedzi na te słowa, przywołał stojącą opodal dorożkę.

— Siadaj! — rzekł do przyjaciela. — Mamy czas! Przejedźmy się po Alejach. Śliczny dzień! Zobaczmy znajomych...

Dorożkarz, zmierzwszy oczyma eleganckich młodzików, popędził ochoczo. W parę chwil mijali już skwer na placu Trzech Krzyżów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA

działalności kobiecej.

Mówiąc o stowarzyszeniach, przytaczaliśmy dotąd przedewszystkiem związki, zawierane przez kobiety francuskie. Tymczasem ziemią ich klasyczną jest nawskróś przemysłowa i praktyczna Anglia, której córy, brakiem chleba wiedzione, prędzej od innych kroczą naprzód. Jeżeli można wierzyć

dochodzącym z tamtąd sprawozdaniom, to niema miesiąca prawie, aby Angielki, pracujące w jakiejś gałęzi, nie próbowały zapomocą stowarzyszenia wyjednać sobie lub uboższym siostronom lepszych warunków bytu. Niech nikt nie myśli, że związki te niewieście mają na celu jakikolwiek przewrót, jakikolwiek postęp gwałtowny, lub choćby pozorny a na ekscentrycznych oparty pozorach. Broń Boże! Kobiety te, pojmując iż spójnia jest siłą, jednoczą się tylko, bądź to w celach filantropijnych, bądź dla zdobycia łatwiejszych warunków pracy i jej zbytu.

Na dowód sięgamy po przykłady.

Wiadomem jest, że kobiety pracujące w Anglii we wszelkich gałęziach przemysłu i handlu, przyłączają się do tak zwanych *trades-unions*, zawierając własne stowarzyszenia pracy, tak że na ostatnim wielkim kongresie robotniczym w Liverpoolu, miały już one własne swe, niewieście interesów strzegące przedstawicielki. Łączność ta zapewnia im siłę i powagę wobec chlebobawców, kładąc zarazem kres wyzyskowi, jakiemu ulegały.

Na dowód zaś, jak słuszne i skromne są ich wymagania, przytaczamy tu, iż związany niedawno związek kobiet, pracujących w zawodzie cukierniczym, zażądał jednogłośnie od pryncypałów:

1) Zniesienia kar pieniężnych, które często całą pochłaniają pensją. 2) Półgodziny wolnej popołudniu na spożycie podwieczorku. 3) Jadalni, w której pracownice mogłyby zbiorowo obiadować (tam, gdzie ich znajduje się większa liczba). 4) Podniesienia dziennego wynagrodzenia o 1 frank 20 centimów. 5) Wreszcie, aby za należenie do stowarzyszenia, pracownica nie została pod żadnym pozorem wydalona.

Warunki niezbyt wygórowane, jak widzimy, pod groźbą bezrobocia przyjęte zostały. I oto, dzięki spójni, garść kobiet ciężko pracujących nad słodyczami dla innych, zdołała usunąć jedno choćby ziarno goryczy z własnego życia. Słabe, bezbronne i wyzyskiwane pojedynczo, drogą łączności, na którą taki nacisk kładziemy, kobiety angielskie zdobywają siłę, ujawniając się wybitnie w zabiegach filantropijnych. Spójrzmy na przykład na „Stowarzyszenie opieki nad młodemi służącymi.” Zajmuje się ono pieczą moralną, poparciem w trudnych chwilach, wyszukiwaniem miejsc, polepszeniem losu, czuwaniem wreszcie, by chronić dziewczęta od złego towarzystwa i przykładu. Związek przyjmuje pod swe skrzydła dziewczyny od lat 13 do 20, jeżeli są służącymi i jeżeli moralność ich nie podlega zarzutom. Ten ostatni warunek bywa wszakże o tyle łagodzony, że oddział jeden stowarzyszenia zajmuje się pobocznie i temi, które zeszyły z drogi uczciwej, starając się nawrócić je i w nędzy wspomagać.

Stowarzyszenie liczy obecnie 25 oddziałów, ogarniających wszystkie dzielnice Londynu. Posiada nadto biura rekomendacyj, schroniska dla pozabawionych miejsca, domy zdrowia dla chorych, wzorowe pralnie dostarczające uczennic podobnym zakładom, ect. ect.

Jak więc widzimy, dzięki zbiorowym siłom niewieścim, żadna służąca londyńska nie potrzebuje umierać z nędzy w szpitalu, lub zejść na złą drogę, chyba że na drogę tę pójdzie świadomie i dobrowolnie, ulegając podszeptom własnych instynktów. I wtedy jednak spotka jeszcze nad samą pochyłością inne stowarzyszenie niewieście, które ją od bezpowrotnego stoczenia się w przepaść powstrzyma i nie jak straconą, lecz jak zbłąkaną owieczkę do siebie przyciągnie, ucząc pracy i uczciwości. Z czasem do związku tego powrócimy jeszcze. Te-

raz rzućmy okiem na spółki, w odrębnych zawiązywane celach, a ułatwiające życie inteligencji niewieściej.

Oto w tymże Londynie, skoro już o albiońskim mówimy grodzie, powstały pierwsze tak zwane *Ladies residential chambers*, czyli domy wznoszone i urządzone wyłącznie na to, aby znalazły w nich najdogodniejsze pomieszczenie kobiety samotne, o wyższym rozwoju umysłowym, pracujące samodzielnie, a niemające czasu ani funduszu na osobne prowadzenie domu. O instytucji podobnej, mającej się, dzięki ofiarności niewieściej, zawiązać u nas, pisaliśmy w jednej z poprzednich kronik. Ale, podczas gdy tu istnieje projekt dopiero, tam domy mieszkalne dla kobiet samotnych takiego doznały powodzenia, że obecnie wznoszą je w każdej dzielnicy miasta. Czerwone te, z nietynkowanej cegły pałacyki są istnym przybytkiem ciszy i komfortu. Oprócz własnych dwóch, lub jednego pokoiku, każda lokatorka znajduje tu wspólne jadalnię, salony, przyjęć, bibliotekę ect. i za drobną stosunkowo opłatą, wolna od trosk gospodarczych, otrzymuje cały dostatek zamożnego, domowego ogniska.

Ta potrzeba wreszcie ułatwienia pracy niewieściej wszędzie się objawia. W Bolonii założono tej wiosny komitet centralny dla polepszenia warunków umysłowych, moralnych i prawnych kobiety. Pierwszym jego krokiem było ustanowienie całego szeregu odczytów, które mają spopularyzować dążenia komitetu. Rozpoczęła je na estradzie prelegentka, p. Marya Popelin, doktorka prawa, której izba sądowa w Brukseli nie chce, jak wiadomo, zaliczyć do ciała obrończego. Panna Popelin przemawiała za przyznaniem kobiecie przywileju bronięcia wobec trybunałów sprawy ucisnionych i nieszczęśliwych. Głos jej zaś wymowny musiał trafić do sfer wyższych i znaleźć w nich oddźwięk, skoro, jak donoszą dzienniki belgijskie, rząd sam, uznając iż przy dorywczej nauce zbyt wiele sił niewieścich się marnuje, żąda założenia specjalnego gimnazjum, któreby przygotowywało dziewczęta do studiów uniwersyteckich.

Zagłędając w przelocie i pobieżnie tylko do krajów innych, znajdujemy w Szwajcaryi, w Neuchâtelu, biuro główne (filie w wielu innych miastach) tak zwanej *L'union internationale des amies de la jeune fille*.

To stowarzyszenie przyjaciół dziewcząt bierze je w opiekę wszystkie, od nauczycielki, dziennikarki, studentki uniwersytetu, aż do prostej służącej. Przyczem zapewniając im pośrednictwo w wyszukaniu pracy, oraz dach i środki do życia podczas bezrobocia, oddaje niewyćwiczonym jeszcze w walce o chleb, a więc niezaradnym, olbrzymie przy-sługi.

Uzupełnia je poczęści tak zwane „Ognisko rodzinne,” *le home français*, utrzymywane w Paryżu, a zapewniające, dzięki pomysłowości miss Morgan, przytułek dla kobiet, niemogących znaleźć zajęcia.

I oto, pomijając tylko niemieckie związki niewieście, którym zczasem osobną poświęcimy kronikę, spróbowałam z mnóstwa zagranicznych stowarzyszeń kobiecych dotknąć kilku, działających w przeróżnych zakresach. Od zjednoczenia rzeźbiarek i malarek, do przemysłowych syndykatów niewieścich, od *trades-unions* (związków robotniczych), ogłaszających bezrobocia, do stowarzyszeń filantropijnych, dających pracę i opiekę moralną, wszystkie one, jak łatwo przekonać się można, zerwały oddawna z krzykliwą emancypacją. Stworzyć przez związek siłę i mocą jej ułatwić zdobycie nauki lub chleba stowarzyszoną kobietom, od najwyższych

do najuboższych, oto jedyny dziś cel, do jakiego dążą i jaki coraz częściej osiągają. Sądzą też, iż kobiety nasze, marnujące pracę i zabiegi w bezowocnych, pojedynczych usiłowaniach, powinny pójść tym razem za przykładem zagranicy, szukając we wspólnych siłach oparcia i ułatwienia przyszłości.

Ponieważ stowarzyszenia wszelkie potrzebują jeszcze łącznika, któryby im wzajemnie ułatwiał stosunki, dzięki więc inicjatywie rodaczki naszej, p. Maryi Szeligi, powstała w Paryżu przed dwoma laty *L'union universelle des femmes* (Stowarzyszenie powszechne kobiet), które, nie ścieśniając bynajmniej związków pojedynczych, na potrzebach każdego kraju opartych, stanowi połączenie ich niejako. *L'Union*, mając baczne oko zwrócone na ruch niewieści całego świata cywilizowanego, pomieszcza echa jego we własnym organie *), dając poniekąd obraz ogólny postępu, jaki na niwie tej widzieć się daje.

Przerzucając karty tego i innych pism zagranicznych, a szczególnie angielskich, poświęconych rozwojowi wykształcenia i pracy niewieściej, widzimy dopiero ze smutkiem, jak mało w tym kierunku u nas dotąd działo się, jak nam brak zrozumienia własnego interesu i... o mało nie powiedziałem poczucia najprostszego obowiązku.

Bo przecież i u nas roi się od kobiet bezdomnych, pozbawionych dachu i ogniska rodzinnego, lub utrzymujących całość tej świątyni rodzinnej, mocą najcięższych wysiłków tylko; i u nas mnóstwo rodzin, ogólnym stanem ekonomicznym w bycie swym zachwianych, ma prawo żądać od córek swych pomocy i poparcia. Tymczasem córki te bądź traktują pracę jako zabawkę i zabicie czasu, bądź błędzą nieświadomie, za co by się zaczęć mogły. I dopiero później, gdy bieda naprawdę do ratunku zmusza, kobiety nasze chwytają za pierwsze lepsze zajęcie, często wręcz usposobieniu ich przeciwnie, a prawie zawsze... niechlebodajne.

Oto przyczyna, dla której poruszyliśmy kwestyę stowarzyszeń niewieścich, sądząc iż mogłyby one dostarczyć niejednego może wzoru i środka ratunku w ogólnej stagnacji pracy kobiecej. Musimy to bowiem nazwać stanem stagnacji, gdy jedyne u nas, zbiorowo działające Schronienie nauczycielek odwołuje się, dla braku poparcia ze strony stowarzyszonych, do ofiarności publicznej.

Wobec też ogólnego narzekania na brak pola, a raczej na brak poparcia, polecamy uwadze czytelniczek wyszłe świeżo obszerne dzieło pani Paquet-Mille, pod tytułem „Poradnik dla młodych dziewcząt w wyborze zawodu” (*Nouveau guide pratique des jeunes filles dans le choix d'une profession*). Zachęca on gorąco do studiów farmaceutycznych, dowodząc: „Oto zawód, który zapewnić może przyszłość wielu kobietom. Zadanie aptekarza wymaga życia siedzącego, wiadomości specjalnych i wkłada na niego pewną odpowiedzialność; kobiety jednak okazywały zawsze wyjątkowe upodobanie do chemii i aptekarstwa. Ileż z nich uprawia je bezwiednie! Aptekarki te nieuczzone, a więc niebezpieczne, należy zastąpić specjalistkami wykształconymi. Dziwi nas też, iż tak mało kobiet poświęca się dotąd zawodowi równie szanowanemu, zyskownemu i spokojnemu.”

Jeszcze goręcej nakłania kobiety do aptekarstwa „Le progrès medical.” „Wszak łatwiej słabym nerwom płakać słój, niż wnętrzości trupie—woła

autor artykułu, doktor Bourneville.—We Francji, Anglii, Włoszech i Rosyi zawód to dozwolony, czemuż więc niepraktykowany?” „Revue scientifique” popiera usilnie tę samą kwestyę, dowodząc, iż zajęcia aptekarki, wymagające wykształcenia średniego tylko i pracy lekkiej, dadzą się doskonale pogodzić z obowiązkami żony i matki.

Polem zato, na którym działalność kobiet coraz szersze zaczyna zakreślać kręgi, jest bezzaprzeczenia literatura. Wprawdzie pesymiści dowodzą, że wniosły tu one z sobą zbyt wielki zapas wodnistych i bezbarwnych utworów, nikt jednak nie zaprzeczy, że zajaśniały również szeregiem niepospolitych talentów. W ostatnich przytem czasach, nawet u nas, porzuciwszy drobną beletrystykę, wzięły się do prac poważnych. Zaczawszy też od naszych doktorek-dziennikarek, dających, jak dr. Stefanowska i Ulanowska, doskonałe sprawozdania z dziedziny nauk przyrodniczych i wystawy azyatyckiej, spotykamy nieznane dotąd imiona niewieści na łamach pism tak poważnych, jak „Wisła,” „Ateneum” i inne.

Równocześnie autorzy francuzcy wydają osobne studia o pani de La Fayette, a unosząc się nad systemem tchnieniem idealizmu, jaki przenikał jej pracę, dowodzą, że autorka ta, urodzona w roku 1634, była pierwszą kobietą, która, nie odrzucając w dziełach swych brudnej prawdy życia i zmysłów, umiała jednak tchnąć w nią szlachetny pierwiastek.

Inna kobieta, pani Vincent, pisująca pod pseudonimem Arvède Barine, wydała świeżo wielce zajmującą książkę: „Princesses et grandes dames.” Praca ta obejmuje galerię typów kobiecych z wielkiego świata, nakreślona piórem barwnym i zaprawioną ciętym dowcipem.

Z obchodzących nas postaci spotykamy tu portret Krystyny szwedzkiej, kobiety, w której spaczono wychowaniem zabiło serce, a nie dało charakteru męskiego, myślącej przez całe życie o tem tylko, w jaki sposób pobudzić świat do podziwu dla siebie i zajęcia swoją osobą.

Następują dalej dzieje księżniczki arabskiej Salme, sułtanki Zanzibaru, której losy, jako żony kupca hamburskiego, znane są czytelnikom z łamów naszego „Tygodnika.”

Spór literacki innej kobiety, pani Rosevalle, z panem Stefanim, redaktorem „Vossische Zeitung,” daje nam ciekawe szczegóły o wynalazkach, dokonanych przez pracownice niewieście.

Dowiadujemy się ztamtąd, iż same Stany Zjednoczone udzieliły do 1889 roku 3,500 patentów na nieznane dotąd odkrycia, w dziedzinie przemysłu i nauki przez kobiety dokonane.

Przeczytawszy długi ten szereg prac, które lata mozołu kosztowały, niosąc wzajemian ludzkości nowe ziarno wiedzy i nową ulgę w pracy, nie dziwimy się, iż profesor doktor F. M. Wendt z Opawy ostatnie swe dzieło pod tytułem „Dusza kobiety, przyczynek do psychologii niewieściej,” *) poświęcił w osobnej dedykacji, jako dowód czci i uznania, tym stowarzyszeniom, które walczą o wiedzę i wyższe wykształcenie dla kobiet.

Anatol Krzyżanowski.

STRZAŁ.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Był to czysty głos Nielsa Bryda. Hening zerwał się, jak błyskawica strzeliła mu w sercu nienawisć, zapalały mu oczy, zaśmiał się ochryple i uderzył fuzyą o ziemię.

„Tylko troskę, tylko troskę zatrzymam daleko.”

znów zabrzmiało; celował we mgłę za głosem, huk zagłuszył ostatnie słowo, a potem wszystko tak było cicho, jak przedtem.

Hening musiał się oprzeć na dymiącej strzelbie, nasłuchiwał ze wstrzymanym oddechem, nie, dzięki Bogu! Był to tylko plusk wody i krzyk daleki mew wystraszonych. Tak, wśród mgły skarżyło się coś żałośnie. Rzucił się na ziemię, przyciskał twarz do wrzosów i zatykał sobie uszy.

Wyraźnie widział twarz od boleści wykrzywioną, konwulsyjne drganie członków i krew czerwoną, która bez ustanku wytryskała z piersi, pędzona przez każde serce uderzenie, widział, jak spływała na kurtkę brązową, wzdłuż gałęzi drzew, aż wreszcie pomiędzy czarnymi sączyła się korzeniami.

Unióśł głowę i słuchał; skarżyło się jeszcze, ale dojsz mu nie było wolno, nie, nie! Rwał zębami wrzosi, rozgrzebywał palcami ziemię wilgotną, jakby szukał schronienia; jak szalony tarzał się i zataczał to w jedną, to w drugą stronę, ale tam w głębi jeszcze nie ucichło, wciąż słyszał skargi.

Umilkło wreszcie. Długo leżał i nasłuchiwał, potem powoli na czworakach zachołgał się we mgłę. Trwało chwilę, zanim cokolwiek rozpoznać był wstanie; nakoniec odnalazł go tuż obok niewielkiej łąwy piaszczystej. Nie żył. Strzał trafił go w samo serce.

Hening wziął trupa na ręce i zaniósł go w poprzek „Ronu” do łodzi, w której przybyli, potem pochwyił wiosło i popłynął ku lądowi. Od chwili w której ujrzał trupa, wzburzenie jego przeminęło i zastąpiła je cicha, ponura żałość. Myślał o znikomości życia i jak miał najostrożniej przygotować pozostałych.

Gdy wylądował, wszedł do najpierwszego z domów wieśniaczych, dla wynajęcia furmanki. Wieśniak spytał, w jaki sposób stało się nieszczęście. Z ust Heninga płynęło opowiadanie, jakby samo przez się; tam na zachodniej stronie Bryde przełaził przez pagórek, strzelbę miał w ręku, kurek widocznie nawpół był odwiedziony, może się w nim coś popsukało i broń wystrzeliła. Podług strzału Hening domyślił się, że byli blisko siebie, zawołał więc na Bryda; ale gdy nie dostał odpowiedzi, zaniepokoił się i poszedł za hukiem; wtedy znalazł go pod pagórkami właśnie, lecz nie żył już.

Wszystko to opowiadał spokojnie w tonie stłumionym i smutnym, a podczas gdy opowiadał, najmniejszej nie miał świadomości winy. Skoro przecież trupa położyli na wóz, a trup opadł na słomę, z głową nabok pochyloną i słabo uderzając o pudło, Hening zemdlął prawie i niedobrze mu było przez cały czas, gdy na Borup jechali do Hagededs-hof.

Pierwszą myślą jego było uciec; z największym tylko wysiłkiem zdołał zmusić się do pozostania

*) Bulletin de l'Union universelle des femmes.

*) Die Seele des Weibes, Versuch einer Frauen-Psychologie.

przez pogrzeb. Oczekując na ten obrzęd, zewnętrznie okazywał gorączkowy niepokój i dziwny zamęt w myśleniu, tak że nie mógł zachować nic oznaczonego, ale przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot. Bezustannie to kręcenie się i wrzenie w jego mózgu, którego powstrzymać nie miał siły, czyniło go blizkim szaleństwa, a gdy był sam, zaczynał liczyć lub śpiewać z cicha i wybijać takt nogą, aby w ten sposób nałożyć więzy myślom swoim i nie pozwolić się porwać straszemu, wyczerpującemu ich tańcowi.

Nadszedł wreszcie pogrzeb.

W dzień potem Henning był na drodze do wuja swego, kupca drzewnego, dla uzyskania posady w jego interesie. Zastał go w usposobieniu wielce smutnem. Przed miesiącem mianowicie umarła stara jego gospodyni, a obecnie zmuszonym był odprawiać prokurenta swego z powodu przeniewierzenia się. Henning więc gorące znalazł przyjęcie. Z zapalem wziął się do dzieła i po roku objął kierunek całego interesu.

W cztery lata potem niejedna zaszła zmiana. Kupiec drzewny umarł, a Henning był głównym jego sukcesorem. Stary Lind ze Stavnedu również pożegnał życie doczesne, lecz majątek zostawił tak obdłużony, iż musiano go sprzedąć, przyczem nie pozostało prawie nic dla Agaty. Nowym właścicielem dóbr w Stavnedu stał się Henning, który znów zwrócił się ku rolnictwu. W Hagedstedhof po Nielsie Brydem nastąpił niejaki Klausen, który wkrótce miał poślubić Agatę. Mieszka ona tymczasem u pastora i jeszcze ładniejszą jest, niż przedtem. Inaczej dzieje się z Henningiem.

Nie znać po nim wcale, że miał szczęście. Wygląda jak starzec, rysy ma ostre, chód osłabiony, przygarbiony, mówi mało i cicho bardzo, oko jego dziwnie suchy ma połysk, a spojrzenie pełne niepokoju. Gdy zdaje mu się, że jest sam, mówi do siebie i gestykuluje. Dlatego ludzie w okolicy przypuszczają, że się upija.

Ale tak nie jest. Dzień i noc, nigdy i nigdzie nie czuje się bezpiecznym przed myślą o morderstwie. Wśród trwogi wiecznej uschły duch jego i zdolności, bo gdy nadchodzi myśl owa, przybiera postać nie żalu albo troski ponurej, ale żywego, płomienistego przerażenia, szalu strasznego, w którym zdaje mu się, że widzi wszystko w ciągłym ruchu, jak wylewa się strumieniem, spada kroplami, szmerze dziwnie i zmienia barwę, wszystko jest albo trupio-białem, albo krwawo-czerwonym.

A w strumieniach tych taka jest nieskończoność, jakby wsysało się coś w żyły wszystkie, jakby żywiło się najdelikatniejszymi splotami nerwów, a pierś podnosi się wśród obawy niewypowiedzianej; ale żaden okrzyk zbawczy, żadne ulgę niosące westchnienie przez blade te usta nie znajdują drogi.

Widzenia takie są skutkiem rozmyślenia, więc lęka się go, więc spojrzenie jego jest niespokojnem, a chód osłabionym. Strach ten ubezwładnił go, a co mu jeszcze pozostało siły, żyje w nienawiści jego, bo on nienawidzi Agatę, nienawidzi ją dlatego, że miłość ku niej zgubiła jego duszę, pozbawiła go szczęścia życia całego, wydarła spokój, ale najwięcej ją nienawidzi dlatego, że nie ma pojęcia o świecie mąk i nędzy, któremu dała początek, a jeśli teraz wśród groźnych gestów mówi ze samą sobą, myśli tylko o zemście i plany zemsty snuje i nosi ze sobą. Nie daje jednak nic poznać po sobie; względem Agaty jest uprzejmością wcieloną; kupuje jej wyprawę, prowadzi ją do ślubu, po weselu nawet nie stygnie dla niej; pomaga i radzi Klausenowi na wszelki sposób, obaj nawet wspólnie podjęli kilka znacznych spekulacji handlowych,

które świetne przyniosły rezultaty. Wtedy Henning zaprzestał, ale Klausen chciał pracować jeszcze w dalszym ciągu, a Henning przyrzekł mu pomagać słowem i czynem. Dotrzymał też słowa. Forsusował Klausenowi wielkie sumy i ten ostatni brał jedno przedsięwzięcie po drugim. Na jednych zarabiał, na innych tracił; im więcej jednak robił obrotów, z tem większym oddawał się im zapalem.

Wkońcu ogromny jeden interes miał zeń uczynić bogaczem. Interes ten licznych wymagał nakładów, Henning dawał na wszystkie; jeszcze jednego tylko było potrzeba, ale Henning cofnął się. Klausenowi widoki zdawały się wielce obiecującymi; gdyby teraz nie korzystał z chwili, byłby zrujnowanym, a płacić nie był w stanie. W ten sposób doszedł do podrobienia podpisu Henninga na kilku wekslach. Nikt nie poweźmie podejrzenia, myślał, a zyski popłyną niebawem.

Przedsięwzięcie nie udało się. Klausen doszedł prawie do ruiny. Zbliżał się termin płatności weksli; trzeba było ostatnią zrobić próbę, więc posłał Agatę do Stavnedu.

Henning zdziwił się, spostrzegłszy ją, gdyż niedawno przedtem powiła była dziecko, a powietrze było ostre i dżdżyste. Zaprowadził ją do zielonego pokoju i opowiedziała mu o niefortunnych spekulacjach i o wekslach.

Henning potrząsał głową i rzekł spokojnie i łagodnie, że pewnie nie zrozumiała męża swojego; że nie podpisuje się cudzego nazwiska na wekslach, że to przestępstwo, wprost przestępstwo, które prawo ciężkiem karze więzieniem.

— Nie, nie—odrzekła,—dobrze zrozumiała męża swego i wiadomo jej, że to przestępstwo, ale właśnie dlatego pomoc jego jest niezbędną; jeżeli tylko nie będzie protestował przeciwko podpisowi, wszystko znów będzie dobrze.

Tak jest, przekładał on, ale w takim razie musiałby zapłacić weksle, a tego uczynić nie ma możliwości; tyle już pieniędzy utkwiał w interesach Klausena, iż nad siły jest przeciążony. Nie może.

Płakała i prosiła.

Musi wszak pamiętać, że przez Klausena stracił dużo niezmiernie. Gdy go zawiadomiła o nieudaniu się przedsięwzięcia, zdawało mu się naprawdę, że go ktoś uderzył w twarz, tak był zdumiony i oszołomiony.

Przy tych słowach przychodzi mu na myśl, że go ona spoliczkowała raz pewnego, czy sobie to przypomina? Nie? jednego dnia, kiedy z nią mówił o Brydem... czy istotnie nie może sobie przypomnieć? Tak, tak, w uprzejmym pośpiechu kiedyś w twarz go uderzyła, z tej oto strony.

Wszystko dobrze, ale czyż pomódz nie jest wstanie? Było to w tym pokoju. Ach, inny to był, dziwny czas!

Zdaje mu się nawet, że kiedyś starał się o jej rękę, przynajmniej tak mniema. Naturalnie, gdyby się zgodziła, ale niedorzecznością było mówić o tem; Bryde piękny był mężczyzna i tak smutny miał koniec.

Tak, tak; ale czy naprawdę niema wyjścia? Żadnego?

Niechaj nie wierzy historii o wekslach, wmówił jej to tylko Klausen, ażeby dowiedzieć się, czy choć z niewielką jeszcze chce mu przyjść pomoc; to zartownis z tego Klausena, przebiegły, bardzo przebiegły!

Nie, rzeczywiście tak jest, jak mówiła. Jeśli wróci z odmowną odpowiedzią, Klausen zmuszonym będzie uciec do Ameryki; powóz, który miał go od-

wieźć do stacyi kolei w Voer, już był zajechał, gdy wychodziła z domu.

Nie, tego nie przypuszczał o Klausenie. Wszak to postępek najnikczemniejszy! Wprawdzie w kłopot tego, który ciągle okazywał mu pomoc! Widocznie bardzo zepsuty. To podłe! A potem ściągnąć hańbę na żonę i dziecko niewinne! Usłysz co ludzie powiedzą. Biedna Agato, biedna Agato!

Rzuciła się przed nim na kolana i prosiła:

— Heningu, Heningu! miej litość nad nami!

— Nie i potysiąckroć nie! *Moje* imię pozostanie bez skazy, ja nie pomagam przestępcy.

I poszła.

Henning zasiadł i napisał do policji w Voer, aby zatrzymać Klausena w zarzucie fałszowania weksli, gdy przybędzie na stacyą. List ten odesłał sztafetą.

Wieczorem dowiedział się, że Klausen wyjechał, nazajutrz że został aresztowany w Voer.

Zaledwie wróciwszy do domu, Agata musiała położyć się do łóżka. Osłabiona po przebytej cotyko chorobie, nie mogła znieść nadwężenia i silnego wstrząśnienia umysłowego. Wiadomość o pochwyceniu Klausena złamała ją do ostatka. Choroba przybrała złośliwy, gorączkowy charakter, a w trzy dni potem do Stavnedu doszła wieść, że Agata umarła.

Na dzień przed pogrzebem Henning udał się do Hogestedhof. Ponura mgła zalegała drogę, liście opadały całemi płatami, w powietrzu unosiła się ostra i ziemista woń. Wprowadzono go do pokoju zmarłej.

Okna zawieszone były białemi chustami, w głowach nieboszczki paliło się kilka świec. Z wieńców wydobywał się ciężki zapach kwiatów i mieszał z odorem świeżego lakieru na trumnie.

Kiedy widział ją tu spoczywającą w białych, fantastycznych szatach śmierci, wpadłby wnastrój niemal uroczysty. Na twarz jej rozpostarto białą chustkę; nie unosił jej. Ręce miała skrzyżowane na piersi i białe rękawiczki bawełniane. Ujął ją za rękę i ściągnął rękawiczkę. Potem ciekawie przyglądał się tej ręce i chuchał na palce, jakby je chciał ogrzać oddechem swoim. Długo trzymał jej rękę w swojej; w pokoju ściemniało się coraz bardziej, na dworze mgła zwiększała się ciągle. Nachylił się ku jej obliczu i wyszeptał: „Bywaj zdrowa, Agato; zanim się rozstaniemy, powiem ci coś jeszcze; i *mnie* nie żal tego, com uczynił,” poczem puścił rękę i poszedł.

Gdy wyszedł, prawie nic nie widział, tak gęstą była mgła. Szedł wzdłuż wybrzeża. Pomszczonym był tedy, ale teraz! Co będzie jutro i pojutrze? Co? Zupełnie było cicho, lekki szmer tylko wzbijał się od wody, ale nie słyszał wszak serca swego bicia?

Tak, było jednak, lecz tak słabo, tak słabo! Co? Rozległ się jakby strzał i jeszcze jeden! Potrząsnął głową, roześmiał się, wyjąknął: „Nie, nie dwa, jeden tylko, tylko jeden!” Tak był zmęczony, ale odpocząć... do odpoczynku nie miał spokoju. Stał na chwilę i rozejrzał się; niedużo tam było do widzenia; mgła tworzyła mur wokoło niego, mgła ugóry, mgła wokoło, piasek nadole; tu w piasku w prostej linii były ślady jego nóg; dochodziły do środka koła utworzonego przez mgłę, nie dalej; uszedł znów kawałek, nie, nie dalej sięgały jak do środka, ale za nim, tam z kądem przyszedł, tam były koła pełne jego kroków. Bardzo przecież był zmęczony; w piasku to chodziło się tak ciężko, za każdym krokiem tracił trochę sił, tak! przestrzeń przebyta była szeregiem mogił sił, które uleciały, a przed nim piasek jeszcze był tak równym i gład-

kim i czekał. Przebiegł go dreszcz. „Tam jest ktoś, co stąpa po moim grobie, ktoś, co wchodzi w moje ślady, tam we mgle coś szeleści, jakby suknie kobiece, to coś białego w białej mgle.”

Szedł znowu jak mógł najprędzej. Kolana chwiały się pod nim, ściemniło mu się w oczach, ale musiał iść coraz dalej, coraz dalej przez mgłę, bo tam z głębi coś ścigało go bezustanku. Zbliżało się coraz bardziej, już opuszczały go siły, słańał się to w tę, to w drugą stronę, migały się przed nim światelka przeróżne, głosy ostre, rozdzierające brzmiały mu w uszach, zimny pot występował mu na czoło, usta jego rozchylały się wśród przerażenia, upadł na piasek. I wyszło z poza mgły bezkształtne, lecz znajome i przytłoczyło go zwoła całym ciężarem swoim.

Usiłował się podnieść, ale uchwyciło go za gardło białemi, wilgotnemi palcami...

Kiedy następnego dnia Agata miała być pochowana, orszak cały oczekiwał długo i napróżno: ze Stavnede nie przybył nikt...

J. P. J.



VIII.

Poznawszy skład krwi i jej znaczenie w odżywianiu tkanek i organów naszego ustroju, zrozumiecie łatwo, szanowne czytelniczki, że wszelkie zmiany krwi tak pod względem ilości, jak i pod względem jakości składowych jej części muszą niekorzystnie wpływać na odżywianie i wywoływać zaburzenia w tych lub innych organach. Człowiek zdrowy nie powinien mieć krwi ani za dużo, ani za mało; zbyt duża ilość krwi okrąży niepotrzebnie organizm, wywołuje przepełnienie pewnych organów wewnętrznych i nieodłączne od tego dolegliwości, zbyt mała lub niedostateczna ilość krwi nie jest wstanie należycie odżywiać organizm i jest przyczyną jego wiotkości i chorowitości. Wogóle przyjmujemy, że człowiek zdrowy posiada krwi $\frac{1}{13}$ część wagi całego swego ciała, co lubo fizjologicznie dowiedzionem zostało, w praktyce jednak określić się tak łatwo nie daje. O dostatecznej przeto lub niedostatecznej ilości krwi u człowieka sądzić możemy z następujących objawów. Skóra twarzy u zdrowego jest czerwona, rumiana, policzki zarumienione, usta różowe, błony śluzowe oczu również dostatecznie krwią naplnięte.

Uderzenie serca równe i silne, jak również tętno. Odżywianie skóry dobre; jest ona koloru bladoróżowego, z dostateczną ilością tkanki tłuszczowej, miękka i elastyczna.

Niedostateczna ilość krwi wywołana być może przez złe i niedostateczne pożywienie, przez choroby ostre gorączkowe, lub chroniczne długotrwałe i wycieńczające. Szczególniej u dzieci, u kobiet i osób delikatnych czasami niezbyt długa i ciężka choroba wywołuje już znaczne zubożenie krwi, które dopiero po pewnym czasie przy wzmacniającej diecie i użyciu środków lekarskich ustąpić może.

U dzieci, szczególnie w pierwszych latach życia, zdarzają się często takie wyniszczające choroby,

a mianowicie odra, skarlatyna, zapalenie nerek, tyfus, katary kiszek czyli dyarye, choleryna i wiele innych. Po przebyciu tych chorób, oprócz ogólnego wychudnięcia całego ciała, rozwija się szybko niedokrwistość, której objawy są następujące: Skóra blada lub blado-żółtawa, blade usta i błony śluzowe, tętno słabe, drobne, łatwo dające się ucisnąć. Z powodu niedostatecznej ilości krwi i osłabienia czynności serca, chorzy tacy skłonni są do omdleń, zawrotów i bólów głowy, trawienie mają leniwe, humor zmienny i odznaczają się ociężałością lub drażnieniem nerwowem.

Toż samo mniej więcej widzieć możemy u osób dorosłych, tylko przez czas dłuższy i w wyższym stopniu, dzieci bowiem prędzej niż dorośli wracają do sił i zdrowia. Oprócz tego osoby małodkrwiste odznaczają się skłonnością do chorób, gdyż ustrój ich jest mniej odporny i wrażliwszy na wszelkie bodźce szkodliwe. Wyższe stopnie niedokrwistości prowadzą do tak zwanej wodnistości krwi (hydraemia), przy której często spotykamy obrzęki nóg, puchlinę brzucha, osierdzia opłucnej, wogóle tak zwaną wodną puchlinę.

Najłatwiej i najszybciej niedokrwistość występuje po utracie krwi z powodu krwotoków, z jakichkolwiek przyczyn powstałych. Krwotok może mieć miejsce we wszystkich narządach naszego ciała, najczęściej jednak wywołany bywa przez zranienie lub uszkodzenie naczyń krwionośnych tętniczych lub żylnych, jakkolwiek i naczynia włosowate łatwo krwawić mogą, szczególnie przy wrodzonej ich kruchości i słabości.

Odróżniamy przeto krwotok tętniczy, żylny i miażdżowy (z naczyń włosowatych). Gdy przyczyną krwotoku jest rana, wtedy z jej położenia i kierunku można przybliżenie sądzić, czy uszkodzoną została tętnica, czy żyła.

Przytem pamiętać należy, że przy uszkodzeniu tętnicy nawet bardzo małej krew jest jasno czerwona i strzyka z rany na pewną odległość; przy zranieniu żyły krew spływa powoli i jest ciemniejsza.

Szybka i obfita utrata krwi wywołuje niekiedy omdlenie z utratą przytomności. Serce działa bardzo słabo, tętno staje się drobnem, słabem i niekiedy zupełnie niewyczuwalnem. Twarz pokrywa się bladością, skóra staje się zimna, sucha i traci swą sprężystość. Obfity krwotok z ważnych tętnic lub żył wywołać może śmierć pozorną, a niekiedy śmierć rzeczywistą. Dlatego bardzo korzystną jest w życiu codziennem znajomość tamowania krwotoków i obchodzenia się z takimi chorymi, zanim przybędzie lekarz i według wszelkich prawideł sztuki pomocy udzieli.

Pierwszym warunkiem ratowania wczasie krwotoku jest przytomność umysłu i zimna krew. W takich wypadkach nagłych więcej pomódz może jedna osoba przytomna i energiczna, aniżeli dziesiątki osób niedołężnych, z których każde zaleca swoje lekarstwo, a żadne nie robi tego, co najpotrzebniejsze. Krew tymczasem uchodzi z każdą chwilą, a z nią siły i życie ucieka. Przedewszystkiem chrego należy położyć wygodnie, tak aby głowa nie znajdowała się zbyt wysoko, gdyż przy nagłych i obfitych krwotokach łatwo bardzo następuje omdlenie, czemu niskie położenie głowy do pewnego stopnia zapobiedz może.

Samo tamowanie krwi również jest ważnem, a polega ono na zmniejszeniu dopływu krwi do miejsca krwotoku i ułatwieniu tworzenia się skrzepu krwi w naczyniu zranionem. Dla zmniejszenia dopływu krwi, jeżeli rana jest na kończynach to jest rękach lub nogach, należy powyżej rany kończyny

chustką lub taśmą mocno przewiązać. Na samą ranę krwawiącą przykładac trzeba zimne okłady z wody lub lodu w pecherzu, dopóki się krew nie zatamuje. Dobrze jest do tamowania krwotoku mieć pod ręką roztwór ałunu, taniny lub półtorachloru żelaza, który na wacie przykładamy do rany krwawiącej. Używane w życiu codziennem sposoby tamowania krwi zapomocą pajęczyny, spalonego płótna, ciasta i t. p., jako zanieczyszczające ranę, powinny stanowczo wyjść z użycia.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK

Mam w tej chwili przed oczami wykaz urzędowy urodzajów tegorocznych w całym państwie. Wedle tej relacji oficjalnej, ze wszystkich gubernij Królestwa tylko jedna obiecuje plony ilościowo niezadowalające, wszystkie inne pozwalają się spodziewać rezultatów dodatnich.

A zatem złe wróżby na wiosnę okazują się fałszywymi? Ależ tak, nieinaczej! Były one objawem sztucznego pesymizmu, który krzewi się dzisiaj chorobliwie na stosunkach ludzkich, jak jemiola na dębinie!

— O, niech-no tylko pogoda dotrzyma porze zbiorów! — słychać wszędzie życzenia.

— A jak tam u pana dobrodzieja żytko?

— Żyto jak żyto, ale pszenica!... Dawnom takiej nie widział! A jarzyny, mości dobrodzieju, prześliczne, i byle tylko zbiór pogodny.

— Nie zbraknie chleba, co?

— Prawdę a Bogiem, nie braknie nam go nigdy, bo gdy na górze od słońca przepadnie, to się w dołku szczęśliwie przechowa, a co w dołku zgnije, to na górze ocaleje. Bywa to „jakoś” rozmaicie, ale w ogólnym rezultacie zawsze od biedy.

— A na cóż te wiosenne biadania?

— Hm... taka to już natura ludzka. Wciągnęliśmy się do stękania i stękamy przy lada okazji. A co prawda, choć pszenicy będzie dużo, choć żyta wystarczy i dla innych coś zbędzie, jak się Niemcy z cłem upierać zechcą, niewielka ztąd pociecha.

— A przecież dzisiaj po 14 rubelków para, i to zgórą, ceny niezłe!

— Ba! na przednówku, wielka rzecz! Potem spadną, za sprawą Żydków.

W dalszem rozwinięciu tego tematu urodzajowego wysłuchałem jeszcze wielu biadań i złych prognostyków, alem ich już do serca zbyt żywo nie brał, skorom wyniósł z rozmowy pociechę: chleba nie zbraknie. Na teraz tego dosyć. Co będzie dalej „za sprawą Żydków,” tego oczywiście skromny kronikarz Tygodnika przewidzieć nie zdoła, dosyć mu, że chleba nie zbraknie... dla niego i dla wszystkich.

Na teraz czuję się w obowiązku podzielić z czytelniczkami interesującą nowiną, która się urodziła o miedzę, a nadleciała na skrzydłach prasy i telegrafu. W Krakowie świeżo odbył się zjazd lekarzy, który zamknięto postawieniem wniosku, aby kobietom wolno było uczęszczać na wydziały filozoficzne wszechnicy tamtejszej. Filozofia w po-

dziale uniwersyteckim, to filologia, historia, matematyka, przyrodniczo. Nie wiem czy wnioskodawca, członek zjazdu lekarskiego, miał też na myśli medycynę, ale o tem nie mówił. Jeżeli nie, to wygląda to trochę dziwnie, ale, bądźco bądź, jest to już krok naprzód. Wiadomość o tem głosi, iż wniosek przyjęto burzą oklasków! Idzie już tylko o to, aby nie uwiązł na wieki w protokołach zjazdowych i aby szanowna *Alma mater*, do której go adresowano, otworzyła swoje wierzeje dla nadobnych słuchaczy.

Niemcy świętują obecnie stułetni „jubel” największego ze swoich geniuszów — Mozarta. Obchodziło go bardzo uroczyste miasto Salzburg, w którym się muzyk ten urodził, obchodziło go zaś o kilka miesięcy wcześniej, niżby należało, tylko gwoździem porze letniej. Jubileusz przyspieszony będzie miał więcej uczestników, miasto więcej gości, a mieszczanie... więcej zarobku.

Gdyby chciano święcić rocznicę śmierci Mozarta, sprawiłoby to kłopotu coniemiarza. Jubileusz taki wymagałby złożenia wieńca na grobie, a tu tymczasem niewiadomo dotąd wcale, gdzie się ten grób największego z muzyków znajduje. Przepadł bez śladu na cmentarzu wiedeńskim, dzięki niezwyklej czułości wdowy po nieboszczyku, która potem wyszła za jakiegoś rangowego „bürgera” i drugiemu mężowi wystawiła bardzo suty monument. A tak biedny Mozart zginął bez śladu i pozostała mu tylko... nieśmiertelność!

Kim był, a raczej czem był ten twórca „Don Juana” — do dzisiejszego dnia pozostało zagadką. Najpewniej był wybranym, wypieszczonym przez Opatrzność duchem, któremu pozwoliła Ona przemawiać do ludzi mową aniołów. Rozprawia się o Meyerberze i Wagnerze, komentuje się Beethovena, rozpatruje się i wyjaśnia Bachów, Schumanów, Szopenów — ale Mozarta kocha się i uwielbia. Jeżeli są tacy, co nie odczuwają jego czaru, są to najniezawodniej półnatury ludzkie, zbłąkane ze świata amfibiów. Nigdy bowiem muzyka nie była tak bardzo sobą, tak siebie świadomą, tak szczerą a prostą i tak przez to wszystko zrozumiałą, jak u niego. Duch jej zostanie też niespożyty na zawsze, choć formy jego starzeć się będą. Wystarczy aż nadto, aby był strumieniem czystego natchnienia dla wszystkich mistrzów przyszłości...

Przez Mozarta zbliżyliśmy się do sceny, a przez Salzburg... do Schönthana, którego właśnie nową komedią „Miłość wszystko może” odegrano na naszym teatrze. Bardzo to rzecz wesoła i poniemiecku... miękka. Jest też trochę i nudna. Ale zato w gruncie rzeczy poważna. Niemcy bez powagi ani rusz i z pewnością źle na tem nie wyjdą.

Tymczasem nasze ogródki odżywiły z biedy pamięć nieboszczyka Szobera, twórcy Józia Grojseczyka i Barnaby Fafuły, a jak chce pewien odłam krytyki warszawskiej, i nowego rodzaju scenicznego.

Ponieważ ta *nowość rodzaju* intrygowała mnie bardzo, więc usiłowałem się jej przyglądać bacznie, aby ją scharakteryzować i określić. Mój Boże, jakże to nędznie wygląda! Szober nie stworzył nic nowego — zepsuł tylko to co było dobrem, skrzywił co było prostem, gwoździem łatwej produkcji i łatwemu zarobkowi poziom sztuki obniżył do karykatury, oddał ją na poniewierkę tłumom, na śmiech niewybrednej gawiedzi. Ani jedna postać niewykończona, ani jedna sytuacja nienaturalna, ani jeden koncept niebanalny, ani jeden dowcip nie błazeński...

Utwory te — *nowości rodzajowe* — nie były pisane bez talentu, który jednak wyżej sięgać nie

chciał, zbierając po ulicznym błocie co się zebrać dało, z potrzeby, z biedy, z głodu. Ale cóż komu do tego! W dziejach literatury niema miejsca na filantropię, ani na pobłażanie, a faktem jest niezaprzeczone, że ten *rodzaj nowy* zdemoralizował scenę i publiczność, stworzył setki epigonów-wyrobników, stanął wprost drogą prawdziwej produkcji literackiej.

Niestety, jest tak, a nie inaczej, pomimo *dobrośliwych* opinii przyjaciół i życzliwych! Szober nie zasłużył się wcale scenie, ani sztuce, nie stworzył nic nowego — nie należy go sztucznymi opiniami narażać na ten surowy sąd przyszłości, który przecież i bez tego nikogo nie ominie...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Bulwary warszawskie.** Projekt budowy bulwaru nad Wisłą, przez spółkę kapitalistów francuzkich reprezentowaną przez pana Devarsa, zdaje się zbliżać ku urzeczywistnieniu. Ostatnią modyfikacją projektu, przedstawioną przez pana Devarsa, uznano za mogącą posłużyć za podstawę do dalszych, szczegółowych rokowań.

Według tego zmodyfikowanego projektu, bulwar ciągnąłby się na przestrzeni od mostu Aleksandrowskiego do młyna parowego na Solcu. Kapitaliści przygotowaliby zupełnie swoim kosztem teren, to jest wybrukowaliby ulice, zaprowadzili na nich kanalizację i wodociąg, a wzamian za to otrzymaliby wszystkie place miejskie na terenie bulwarowym leżące i przez lat 45 pobieraliby podatki od wszystkich domów wzniesionych na bulwarze. Po latach 45 pobór podatków przeszedłby na rzecz miasta. Pan Devars porozumiał się już ze spółką paryzką, która przedstawione przezeń propozycje również przyjęła w zasadzie. Idzie więc ostatecznie o porozumienie się co do szczegółów, które przedstawi jeszcze zapewne nie lada trudności, ale przy obustronnej dobrej woli do skutku dojść może.

Powtarzamy, że jedynym, zupełnie zadawalającym rozwiązaniem tej sprawy byłoby zbudowanie bulwaru swojskimi kapitałami; ale ponieważ o tem ani marzyć niepodobna, nie dla braku kapitałów ale dla ich wstydlivosti, ośpałości i tchórzliwości, więc z dwojga złego wybierając, lepiej już niech go nam zbudują Francuzi, niż żeby Powiśle wieki jeszcze może pozostać miało tem, czem jest dzisiaj.

* **Zbytki,** na które tyle zasłużonych i niezasłużonych naciskano piorunów, nietylko ze strachu przed temi gromami, jak raczej ulegając twardej konieczności, która zmusza do liczenia się z groźbą nawet tych, którzy dawniej nie uważali tego za rzecz potrzebną, a nawet przyzwolitą, ze sfer i miejsc w których dawniej gościły, przeniosły się gdzieindziej. W samej Europie, gdzie nawet władcy potężnych państw wzięli na oszczędność, jak tego dowodzi ostatnia podróż cesarza Wilhelma do Anglii, już tylko arystokracja (...), pieniądze, to jest Żydzi spanoszeni, roztaczają, gdy im tego potrzeba, zbyt ekwilibrystyczny.

Główną siedzibą zbytku stał się obecnie świat zwany „nowym,” a mianowicie Ameryka północna. I to jeszcze zbyt tutaj tam nie tyle arcymlionerzy tamtejsi, którzy, przyznać im to trzeba, umieją używać swych milionów na pożyteczne i uczciwe cele, ale zbyt tu przeważnie świat aktorski.

Niedawno temu zmarła Emilia Abbott, śpiewaczka teatralna, bardzo popularna w Ameryce, która jednak nie warta była rozwiązać rzemyska u obywateli naszego Patti, Nilsonkom i t. d., zostawiła garderobę, którą oceniono na 300,000 dolarów. Nawet myśl o śmierci nie zdołała w niej poskromić żądzy marnotrawstwa, gdyż mocą testamentu sporządzonego notaryalnie kazała spalić zwłoki swoje, przybrane w białą suknię, w której występowała

w „Ernanim,” haftowaną perłami, przedstawiającą mi wartość 5,000 dolarów. Nież za te bezmyślnie zniszczone perły można było otrzeć łez w tym kraju milionerów i nędzarzy!

* **Pierwszą nagrodę,** wyznaczoną przez klub Cobdena, za napisanie najlepszej rozprawy z dziedziny ekonomii politycznej, pozyskała kobieta, Wiktoria Jeans. Jest to kierunek, w którym najrzadziej zwraca się umysł kobiecy, nie dlatego żeby on był dlań nieprzystępnym, ale dlatego że nie przypada do jego natury, która skłania go zawsze do pewnych ustępstw na rzecz serca. Tak bywało przynajmniej dotąd; dzisiaj może się to zmienić, jak się zmieniło tyle rzeczy na świecie. W każdym razie zmianę tę zaliczylibyśmy do najmniej pożądanych.

* **Nagrody.** Na wystawie urządzonej podczas zjazdu lekarzy i przyrodników, który się w tych dniach odbył w Krakowie, następujący wystawcy z Warszawy uzyskali nagrody: dyplomy honorowe redakcyje „Pamiętnika fizyograficznego” i „Gazety lekarskiej.” Wielkie medale srebrne: redakcyje „Wszechświata” i „Zdrowia,” prof. Żurawski, Warszawskie laboratorium chemiczne i Edmund Chrzanowski. Medale srebrne: Jan Dąbrowski, firma Trzcinski, Urbanowicz i Różycki, „Leliwa” (Kordanowski), Adamczewski, F. Balukiewicz, doktor Heryng i Wodniakowski. Wielkie medale brązowe: redakcyje „Medycyny” i „Kroniki lekarskiej,” H. Biertümpfel, Ed. Gessner, F. Kuśmierski, J. Rutkowski, Klaudya Sagalina i doktor K. Sękowicz z Białocerkwi. Publiczne podziękowania: Dionizy Jastrzębowski i Michał Pik. Wreszcie dyplom uznania, poza konkursem, doktor Odo Bujwid.

* **Postęp fotografii.** Uczony francuzki Lippman, członek Akademii, po długich usiłowaniach i próbach otrzymał nareszcie zapomocą fotografii obraz widma słonecznego w siedmiu jego barwach zasadniczych. Od tego, do wynalazku sposobu otrzymywania fotografii wszystkich przedmiotów w barwach naturalnych, krok już jeden tylko.

* **Czasy ogórkowe.** Wprost przeciwnie powyższemu wynalazkowi, chyba ogórkowemi czasami wytłómaczyć sobie możemy pojawienie się w naszych pismach niby nowiny o projekcie pewnych panów zbudowania w mieście naszym halli koncertowej. Toć panowie owi, ci sami czy też coraz inni, nie przymierzając jak kura z jajem noszą się od Bóg wie jak dawna ze swoim zamiarem, tylko miejsca sobie, a raczej swojej halli znaleźć nie mogą!...

G. Cz

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Annie Kozłowskiej w Horodyszczach. Dodatków powieściowych oddzielnych nie posiadamy. Powieść pod tytułem „Wprowadzona w wielki świat” była drukowaną przez ciąg cały kwartału II-go.

PRZYJACIEL DZIECI, PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —
Półrocznie	rs. 2.	Półrocznie	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie	rs. 1.	Kwartalnie	rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 31 wyszedł z druku i zawiera:

Z dziedziny zoologii, Mszyce. — Wieczór (wiersz). W niewoli u Arabów (powieść). — Zręczność dzikich (z drzeworytem). — Staś przeszkoda (z drzeworytem). — Spełniona wróżba, wspomnienie historyczne, przez Teresę Jadwigę. — Ze świata. — Łamigłówka. W dodatku: Opowiadanie mamy (z drzeworytem). — Sprzeczką (wiersz). — Na wsi, przez Ludwika Niemojowskiego. — Deszcz i pogoda (wiersz). — Panna Dasalska. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówki.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

CENY NIZKIE.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencja Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

Skład Mat. Aptecznych
Trzeciński, Urbanowicz i Różycki,
Krakow.-Przed. 13
wprost kościoła po-Karmielickiego,
w WARSZAWIE.

FABRYKA KWIATÓW,
wielki wybór kapeluszy damskich
podług modeli paryskich poleca
WANDA SIWIŃSKA
Krakowskie-Przedmieście 61
wprost Resursy Obywatelskiej.

WAŻNE DLA PRACOWNI
dziecinnych ubrań trykotowych!

Do składu D. Herszberga, Franciszkańska 36, nadeszły z zagranicy w wielkim wyborze, artystycznym wykończeniu **kotwice, korony i gwiazdki**, zupełnie imitujące hafty, które się poleca po cenach b. przystępnych.

Magazyn Ubrorów Dziecinnych
A. ALIMANT,
w Warszawie, Niecała Nr 12.
Poleca na sezon bieżący, wybór ubrań dziecinnych, oraz wyrobów dzietowych, po cenach najniższych. Wszelkie zamówienia wykonywa szybko i dokładnie, podług ostatnich żurnali.

MAGAZYN
Strojów Damskich
GUSTAWY WACHS
ulica Królewska № 51,
w domu W. Neufelda. 89-3-8
W WARSZAWIE.

PRALNIA CHEMICZNA
sztuczna Cerownia i Farbiarnia
i zakład chemicznego czyszczenia wszelkiej garderoby damskiej i męskiej,
W. Głogowski
10 NIECAŁA 10.

FABRYKA KWIATÓW
B. Grabskiej,
ulica Długa Nr 42, w Warszawie.

Mam honor zawiadomić iż moją Fabrykę Kwiatów z dniem 8 Lipca przeniosłam ze sklepu parterowego do tego samego domu na 1-sze piętro od frontu, gdzie również założyłam Fabrykę piór strusich i fantazyjnych, z czem polecam się względem PP. Handlującym oraz Sz. Publiczności.

Z poważaniem
B. Grabska.

3-5

szkoła do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga Plato v. Reussnera:
Najlepsza Metoda
do nauczania się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ch miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami (obrazkami) razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiastki polsko-niemieckie 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 złodziei** 15 kop. Powieść **Mysliwi Giezm** 10 kop. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.
Skład główny u autora, (Pl. v. Reussnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie).

A La Parisienne
ulica Chmielna Nr 30, mieszkania 2
(pomiędzy Marszałkowską a Bracką) w Warszawie.

Pracownia sukien, okryć i ubrań dziecinnych. Wykonywa wszelkie roboty podług paryskich żurnali z własnych i powierzonych materiałów po cenach umiarkowanych, przytem stroje i wogóle bielizna. Przy pracowni znajduje się upoważniona przez Rząd

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
sposobem francuzkim podług metody **Worth'a.**

Przy pracowni przyjmują się panienki do nauki i na stałe.

Wydają się patenta.

Woń nieporównana.

Rozkoszne **Congo**, jedno z wielu mydeł
Nic sławy twojej nie wzruszy, nie zburzy —
Królujesz wonią, wśród innych pachnideł,
Jak nad kwiatami, woń Saaronu róży.

„Mydło Congo“ firmy **Wiktora Vaissier w Paryżu,**
Reprezentant na Królestwo Polskie **A. LIPINK,** utrzymujący Magazyn
Perfumeryjny w Warszawie.

WINIARNIA
poleca
Wino uznanej dobroci po cenach niżej handlowych,
Wino mrożone na lampki
SENATORSKA Nr 11 (dom d. ROESLERA).
Piwnice otwarte do północy.

PAROWA FARBIARNIA
wełny i przedzdy wełnianej i bawełnianej
E. GRABOWIECKIEGO,
róg ulicy Przedokopowej i Nowo-Nowogrodzkiej Nr 2,
Za rogatką Jerozolimską, w domu własnym.

Przyjmuje w zakres farbowania przedzdy wełnianą i bawełnianą, trykoty, pończochy i t. p.; farbowanie odbywa się na sposób farbiarni zagranicznych, angielskich i francuzkich.

Roboty wykonywają się z całą sumiennością i gwarancją trwałości koloru, po jak najprzystępniejszych cenach. Dotąd farbowane towary w wielu innych farbiarniach, po pewnym przeciągu czasu ulegają wypłowieniu, praktyka zaś moja w jednych z większych farbiarni dała mi możność ulepszyć sposób farbowania do tego stopnia, że kolor pozostaje bez zmiany stanu pierwotnego.

Fabryka Gorsetów
WILHELMA SIEWERT
w Warszawie, Ś-to Krzyżka 19.
28-1-6

Były krojczy (en detaille) fabryki Gorsetów W. Steinera, a ostatnio główny krojczy firmy „à la Grace”, przyjmuje wszelkie obstalunki oraz pranie i reperację Gorsetów po możliwie niskich cenach.

Wybór gotowych gorsetów od rs. 2.

Krawiecki Zakład Reperacyjny
oraz
Pracownia Ubrorów Męskich
Nowy-Świat 57, m. 5.
Przyjmuje obstalunki i reperację po cenach najniższych. Wybawianie plam i czyszczenie sposobem chemicznym.
Nowy-Świat 57, m. 5.

Pralnia NATALII
28. Nowy-Świat 28. 77 6-12
Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystego-spodarczym nie niszczącym bielizny.

PRACOWNIA I MAGAZYN
OBUWIA DAMSKIEGO
M. WRÓŃSKI, 80-6-6
ulica Chłodna Nr 28.
Ceny niskie. Robota trwała.

NAGRODZONA MEDALEM
Fabryka Gorsetów
J. Kropiwnickiej
Nowy-Świat Nr 37 m. 10, w Warszawie.
Poleca wielki wybór gorsetów gotowych, fasonów paryskich, oraz higieniczne po cenach przystępnych. Wykonywa obstalunki oraz pranie i reperację.

Egzystująca od lat 8 pod firmą
LEONTINE
Szkoła Kroju i Szycia
systemem
WORTH'A
jedynie za pomocą centymetru.
ERYWAŃSKA Nr 14.
Przyjmuje na naukę z zupełnym utrzymaniem w zakładzie LEONTINE.
Po ukończeniu kursu wydawane są świadectwa potwierdzone przez władzę.

GLAZURA
NA OBUWIE DAMSKIE I DZIECINNE
z fabryki Al. Karwackiego, jedyny produkt nie psujący skóry i nie smolący bielizny.
A. Nowakowski,
3. BIELAŃSKA 3. 84-4-6
Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrem oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. 21 (dom Fiorentinich) Pracownia **MARIE.**
Zapis uczennic od 10 rano. 65 8-12